

## WIĘZ SŁOWA

Poranek Pięćdziesiątnicy. Jak szum, jak podmuch, jak ogień, obiecany i oczekiwany Duch nappełnił miejsce, w którym przebywali i nappełnił w nich serca. Wtedy oni zaczęli mówić obcymi językami, tak jak Duch pozwalał im mówić, i wśród tłumu zebranego ze wszystkich narodów, podniósł się głos Piotra. Słowo wyzwolone przez Ducha, słowo związane z Duchem: od tego dnia Kościół rodzi się i wzrasta z tego Słowa, w którym Duch — kontynuując kenozę Słowa w naszym cielesnym — wciela się i oddaje, poświadcza się i komunikuje.

Ten, komu przypada zadanie katechezy, jest prowadzony do tego Wieczernika, do tego poranka. Może on być dobrym profesorem jakiejś świeckiej dyscypliny, wykształconym teologiem, wykwalifikowanym animatorem, ojcem lub matką rodziny, pełnym zapału i miłości: jego język jest związany, jeśli Duch go nie uwolni. Ci, którzy mu są powierzeni, mogą być wspaniałymi uczniami, ciekawymi umysłami, dziećmi chciwymi otrzymania tego, co im jest przedstawiane z wielką kompetencją i miłością: jeśli Duch nie przyjdzie wypełnić w nich serca i użyźnić słowo, pozostaje ono martwą literą. Wyrażenie „przekazywać wiarę” jest więc niedokładne; my nie przekazujemy wiary. My przekazujemy Słowo, a Duch, ten złączony z nim język ognia, czyni z niego ogniste naczynie wiary.

Dlatego też nic bardziej podobnego i nic mniej podobnego do zwyczajnej relacji dydaktycznej niż relacja katechetyczna! Nic nie jest bardziej podobne, gdyż w jednym i drugim przypadku chodzi o słowo, które uczy i z tego tytułu nadaje wartość konkretnym wymaganiom. Nic nie jest mniej podobne, gdyż posługa słowa, zadanie ważniejsze od nauczania dyscypliny świeckiej, staje się tu służbą Słowa: w relacji katechetycznej relacja nauczania zostaje niejako sprowadzona do relacji teologicznej. Katecheta doświadcza tu, podobnie jak i ci, których katechizuje, walki Jakuba: walki w nocy, do której obie strony przystępują z gołymi rękami i wychodzą z niej zranieni i błogosławieni; jest to walka z Tym, którego Imię poznają dopiero o świcie.

Nie daliście mi biednego do nakarmienia, ani chorego do opatrzenia, ani chleba do podzielenia, lecz słowo, które jest przyjęte pełniej niż chleb i woda...

P. Claudel, *Cinq grandes Odes, La maison fermée.*

Odkąd Jezus Chrystus przyszedł, aby przyjąć do swego człowieczeństwa i doprowadzić do pełni ludzkie zadania, każde z nich na swój sposób staje się pośrednikiem Tajemnicy, każde też na swój sposób znajduje w niej ochronę. Podobnie nauczanie. Jezus Chrystus bowiem nauczał i polecił nam to czynić. Niezależnie od tego, czy ten termin ma dobrą czy złą prasę, czy relacja nauczania jest czy nie jest kontestowana, nie mogę postępować tak, jakby misja spełniona przez Jezusa Chrystusa i powierzona przez Niego Jego uczniom, została inaczej sformułowana. Chcąc zrozumieć to, co się zawiązuje i co się dzieje w relacji katechetycznej, nie będzie zatem rzeczą zbyt trudną wydobyć najpierw oryginalność słowa, które uczy, w odniesieniu do tylu innych zastosowań — poprawnych lub nie — słowa ludzkiego. Ukształtujemy w ten sposób tylko naczynie gliniane, którego kruchość tak mocno dziś się podkreśla. Jednakże to w tym glinianym naczyniu katecheta musi nieść swój skarb.

Nauczyciel jakiegokolwiek świeckiego przedmiotu, byle tylko spełniał dobrze swoją funkcję, wie już z doświadczenia, że: nauczać to najpierw dawać. Dawać słowa, których uczeń lub student nie umiałby znaleźć sam w sobie lub w książce; dać poprzez te słowa pewien zasób sensu i poznania, których nie należy przyjmować biernie, lecz zrozumieć, to znaczy uznać w sposób wolny i dojrzały. Słowo uczące jest pod tym względem — jak to zauważa Lévinas — „pierwotnym wywłaszczeniem, pierwszym obdarowaniem”<sup>1</sup>, ofiarowaniem pewnego świata, tak że jego odbiorca staje się tym samym jego badaczem i podmiotem. Słowo to jest konkretnym zniesieniem własności prywatnej; nie należy ono do nauczyciela, tak, jak należy do niego to, co może napisać lub opublikować; jest ono po prostu oddane, ofiarowane, dane do dyspozycji ucznia, jako jego dobro własne. Dar, który ponadto nie krępuje, nie przychodzi niespodzianie, nie przenika przez włamanie. Od czasów wzorcowego sporu Sokratesa z sofistami, godnością słowa nauczyciela jest nie podleganie uwarunkowaniom, nie posiadanie innej broni poza bronią prawdy i nie posiadanie innej drogi dojścia do wolności innych, poza samą wolnością, która — przez daną lub odmówioną uwagę — ofiaruje się sama lub się wymyka.

Nie można się bowiem ludzić: spotkanie ludzkich wolności — wobec kwestii prawdy — nie dokonuje się n.gdy w łatwej harmonii, bez wysiłku ani bez konfliktu. Jest zawsze łatwiej oczarować, niż przekonać i „jest coś w naszej duszy, co wzdryga się przed prawdziwą uwagą dużo bardziej gwałtownie, niż ciało

1 Emmanuel Levinas, *Totalité et Infini*, Nijhoff 1974, s. 148.

wzdryga się przed trudem”<sup>2</sup>. Istotne jest jednak, by się nie pomylić co do sensu tego konfliktu. Nie należy on do tych, które wyraża adekwatnie — zamiast je rozwiązać — heglowska dialektyka nauczyciela i ucznia. Zwycięstwo danego nauczyciela nie polega na ujarzmieniu umysłu uczniów, lecz na jego wyzwoleniu; nie na wykazaniu wyższości swojej wiedzy lub siły, lecz na podwójnym postawieniu się w pozycji służby: musi on bez przerwy podawać swoje słowo do dyspozycji tego, kogo uczy, i równocześnie podporządkowywać je temu, co — w umyśle uczniów — jest w stanie je przyjąć, kosztem — ze strony nauczyciela — zrezygnowania z własnego rytmu badań i za cenę przemiany spontanicznego pragnienia ucznia. W relacji dydaktycznej prawda winna się ofiarować pod postacią dobra. Na tym właśnie polega pośrednictwo nauczyciela. Niekiedy nauczyciel będzie miał uczucie, że zdradza techniczne wymagania swojej wiedzy, niekiedy znów, że przekracza oczekiwania i pojętność swoich uczniów: być w postawie pośrednika, to otrzymywać uderzenia z jednej i drugiej strony! Za tę cenę jednak może on doznać — częściej niż to sobie można wyobrazić — radości pośrednictwa udanego. Słowo uczące staje się wtedy rodzajem przyrzeczenia — zawsze już obowiązującego i zawsze w niepewności — dzielenia dóbr i wzajemnego uznania osób; delikatnym, lecz niezniszczalnym znakiem, że przymoc w relacjach przywłaszczenia i panowania między ludźmi, nie są ani pierwszym, ani ostatnim słowem naszej historii. Już w nauczaniu świeckim do prawdy można zbliżyć się tylko dobrowolnie i tylko prawda wyzwala.

A *fortiori* ma to miejsce, gdy chodzi już nie o przekazywanie cząstkowych i różnorodnych prawd, lecz o „słowo prawdy”, dobrą nowinę o zbawieniu. Zanym jeszcze Zmartwychwstała zniknie sprzed oczu swoich uczniów, paschalna pewność nie należy już do tych, które się przekazuje przez samą oczywistość oglądania. Nie narzuca się ona z racji mocnych dowodów. Wymaga słowa, które świadczy i naucza. Taka jest misja powierzona uczniom przez Pana przed Wniebowstąpieniem, taki jest wymagany warunek, by ludzie mogli zbliżyć się do ostatniego i najbardziej codziennego z błogosławieństw: „Błogosławieni ci, którzy nie widzieli a uwierzyli” Powierzyć Słowo naszym słowom — jak to czyni Duch Święty przy narodzeniu Kościoła — to, jak przy Zwiastowaniu, przekazać prawdę Bożą w ciemności naszego umysłu i naszej wolności ludzkiej, umieścić nasz umysł i naszą ludzką wolność w cieniu Ducha — i z tego spotkania uczynić *Magnificat*.

Również katecheta nie mógłby zrezygnować ze słowa naucza-

jącego. Ma on do przekazania prawdę, i to do przekazania w sposób wolny — wolnościom innych. Jako nauczanie, katecheza poświadcza nieustrudzenie, w sercu tajemnicy chrześcijańskiej, niezłomne, a jednak tak łatwe do zranienia przymierze wolności i prawdy, które umożliwia życie ducha, a więc to, by się przyłączył do tego życia — po to, by je przemienić — sam Duch Święty. Koryntianom, kuszonym przez spektakularne i nieuporządkowane „objawy ducha”, św. Paweł przypomina energicznie konieczność „mówienia słów zrozumiałych”, by być rozumianym i by w ten sposób słuchacz — zamiast czuć się złapanym w sidła przez swego rodzaju zarażenie się *sacrum* — został sprowokowany do dania odpowiedzi, a więc do podjęcia decyzji duchowej. W tym przedstawieniu wiary w zwykłym języku, w tym pokornym podporządkowaniu Ducha duchowi, przejawia się miłość zrozumienia i tkwi podstawa wolności religijnej. Uczyć Słowa — to nie urzekać ani nie uwarunkowywać swoich współrozmówców; to zrezygnować z przywłaszczenia sobie Daru, który nam jest dany, to starać się pomóc zrozumieć i być zrozumiałym, to postawić ludzką wolność w obliczu powagi prawdy, krótko mówiąc, to przede wszystkim szanować i brać pełną odpowiedzialność za słowo.

„Uwierzyłem, dlatego przemówiłem” (2 Kor 4, 13).

Jednakże, wiążąc moje słowo ze Słowem, napotykam zarazem na paradoks życia apostołskiego, gdzie chodzi zawsze o pełne rozwinięcie otrzymanych zasobów i darów, a tym samym o oddanie ich całkowicie woli Bożej, by wejść w ten sposób w tajemnicę ubóstwa i zależności, która jest tajemnicą Jego obecności wśród ludzi. Każdy, kto jest zobowiązany nauczać przedmiotu świeckiego i prowadzić katechezę, wie dobrze, że przy równej kompetencji i w dialogu z tymi samymi uczniami doświadcza on znacznej i niepokonalnej różnicy między zmaganiem intelektualnym, jakie musi prowadzić, by zbliżyć swoich słuchaczy do danej prawdy (na przykład jakiegoś tekstu filozoficznego), a walką duchową, którą on i uczniowie muszą podjąć, gdy chodzi o Słowo.

W jednym i drugim przypadku, przedmiot nauczania radykalnie się zmienia. Jedynym „przedmiotem” katechezy jest Jezus Chrystus, lub — bardziej dokładnie — nie ma już „przedmiotu”, lecz jeden Podmiot: Zmartwychwstały nie jest nigdy czymś, czym my możemy dysponować, choćby za pomocą pojęć. Jak to napisał Jan Paweł II na początku swojej adhortacji *Catechesi tradendae*: „W sercu katechezy w istocie spotykamy osobę, osobę Jezusa z Nazaretu, Jedyne Syna Ojca, pełnego łaski i prawdy”<sup>3</sup> i w sposób

<sup>3</sup> Jan Paweł II, Adhortacja apostołska *Catechesi tradendae*, § 5.

jeszcze bardziej dobitny: „W katechezie, to właśnie Chrystus, Słowo wcielone i Syn Boży, jest głoszony — wszystko inne w odniesieniu do Niego; i sam Chrystus uczy, każdy inny czyni to w tej mierze, w jakiej jest Jego rzecznikiem, pozwalającym Chrystusowi nauczać przez swoje usta”<sup>4</sup>.

Mamy tego uderzającą ilustrację w paraleli, jaką ustala św. Łukasz między epizodem z Emaus, w swojej Ewangelii, i opisem chrztu dworzanina etiopskiego przez diakona Filipa, w Dziejach Apostolskich<sup>5</sup>. Na drodze z Jerozolimy do Emaus, uczniom zbitym z tropu, Zmartwychwstały osobiście wyjaśnia, „co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego” Jest On równocześnie i nieodłącznie tym, który naucza i tym, czego naucza, i dlatego uczniowie, słuchając Go stwierdzają, że „pała w nich serce”. Tymczasem droga z Jerozolimy do Gazy jest pustynna i właśnie diakon Filip, z polecenia Ducha, ma się stać z kolei dla Dworzanina paschalnym hermeneutą Izajaszowego tekstu o cierpiącym Słudze: „wychodząc z tego tekstu Pisma opowiedział mu Dobrą Nowinę o Jezusie”. Następnie, po ochrzczeniu Dworzanina, Filip — podobnie jak Jezus w Emaus — znika. Lecz radość, tutaj również pozostaje, Filip bowiem był prawdziwie rzecznikiem Zmartwychwstałego i pozwolił Chrystusowi nauczać przez swoje usta, już nie w *incognito* Jego ciała zmarwychwstałego, lecz w tym, co mu ofiaruje, on, Filip, w słabości ciała. Z kolei, każdy katecheta jest wezwany do tego samego doświadczenia. Ofiaruje on Zmartwychwstałemu *incognito* swojego słowa, a Zmartwychwstały czyni z niego, przez Ducha Świętego obecnego w nas, miejsce swojej Epifanii: „Nie głosimy bowiem siebie samych, lecz Chrystusa Jezusa jako Pana” (2 Kor 4, 5).

Ta teologiczna przemiana słowa nie dokonuje się bez zmagania, tak ze strony katechety, jak i ze strony tych, do których on się zwraca. Wywłaszczenie bowiem, o które tu chodzi, nie polega już tylko na podaniu lub przyjęciu wiedzy nabytej lub przekazanej; podporządkowanie, o jakie tu chodzi, nie polega już tylko na podaniu i lojalnym zatwierdzeniu immanentnej prawdy, na poziomie człowieka, tak by ten akt poddania poświadczał jeszcze suwerenność prawdy. Nie, chodzi o oddanie swojego słowa — Słowu i o wyznanie, w ślad za Jezusem: „Moja nauka nie jest moją, lecz Tego, który mnie posłał” (J 7, 16). Jan Paweł II komentuje: Jakie stałe obcowanie ze Słowem Bożym, przekazanym przez Magisterium Kościoła, jaką głęboką zażyłość z Chrystusem i z Ojcem, jakiego ducha modlitwy, jakie wyzbycie siebie samego musi mieć

<sup>4</sup> Tamże, § 6.

<sup>5</sup> Łk 24, 13-36; Dz 8, 26-40.

katecheta, by móc powiedzieć: „Moja nauka nie jest moją”!<sup>6</sup> Trzeba mieć serce ubogiego, żeby dojść do tego, co Bernanos nazwał „słodkim darem pustych rąk”: by przekazać przez nasze słowa, lub przyjąć poprzez nie orędzie, które oskarża tak mocno ich niewystarczalność i słabość naszego życia; orędzie, którego nie potrafimy — choćbyśmy byli uczonymi teologami — wyjaśnić w taki sposób, by świat mógł je zrozumieć. „Oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego” (J 15, 15). Potrzeba również serca ubogiego, by nic nie zachować ani nie zastrzec ze Słowa, by nie wynosić się do roli sędziów tego, co jest „wiarygodne” w tym orędziu, lub podatne do przyjęcia przez danych słuchaczy, środowisko, czas, kulturę; by się stać „sługą Słowa” i tych, dla których jest ono przeznaczone, w tak wielkiej liczbie, jak ich Pan wezwie.

Właśnie to wezwanie Pana, wyprzedzające daleko nasze słowo, autoryzuje je, dając mu władzę nad siłami ciała i bezdrożami kultury, zabraniając mu równocześnie używać innych broni, niż broni Jezusa Chrystusa. „Oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie” (Mt 28, 7), mówi anioł Zmartwychwstania niewiastom przybyłym do grobu. Uprzedza nas do Galilei pierwszego wezwania, gdzie zostały sieci i barka; idzie przed nami do Galilei naszej własnej historii. Katecheta może się odważyć na swoje słowo, ponieważ jest on zawsze katechetą katechizowanym i wie dobrze z żywego doświadczenia, że Bóg może przemienić serca, nie gwałcąc ich wolności, albowiem przemienił już jego własne serce. Zmartwychwstały idzie przed nami także do „Galilei Narodów”, do ludów, „które chodzą w ciemnościach”, do kultur najbardziej obcych i niedostępnych dla Ewangelii. Idzie więc przed nami, tym bardziej, do tych, których powierza naszemu nauczaniu. Gdy im mówimy o Ewangelii, wiemy, że Zmartwychwstały — przez swoje powszechne Królestwo — już nas poprzedził; i że nasze słowo woła ich nowym i ukrytym imieniem, które otrzymali od w.eków, wtedy, gdy Bóg ich powołał do istnienia: jest to ich imię odwieczne — dla Niego, na które oni sami mogą odpowiedzieć — najbardziej wewnętrzne źródło ich wolności. Nic nie oczyszcza bardziej radykalnie słowa nauczającego z pokus niedyskretnych nacisków, z zaborczości lub manipulacji, jak przeświadczenie, że się jest podporządkowanym temu wezwaniu, temu spotkaniu: „Ten, kto ma oblubienicę, jest oblubieńcem; a przyjaciel oblubieńca, który stoi i słucha go, doznaje najwyższej radości na głos oblubieńca” (J 3, 29). Taka jest radość katechety.

<sup>6</sup> Jan Paweł II, loc. cit.

„Chodzi o poznanie Jego: zarówno mocy Jego zmartwychwstania, jak i udziału w Jego cierpieniach” (Flp 3, 10).

Radość ta jednak przeszła przez Paschę. Głoszenie Ewangelii, czy to w formie krótkiej godziny katechezy między dwoma lekcjami „świeckimi” w szkole, czy w postaci nieformalnego spotkania wokół stołu rodzinnego, jest zawsze wydarzeniem teologicznym, to znaczy: radość ta jest zawsze osiągnięta w ruchu i owocowaniu Ducha, gdyż samo jej istnienie jest już spełnieniem „mocy zmartwychwstania”; wystawiona jest też zawsze na cierpienie, na sprzeciw i na ryzyko odmowy, gdyż nikt nie może starać się doprowadzić kogoś „nie tylko do kontaktu, lecz do wspólnoty, do zażyłości z Jezusem Chrystusem” — jak to poleca Jan Paweł II katechetom<sup>7</sup> — nie wchodząc zarazem we „wspólnotę z Jego cierpieniami”, w tajemnicę Krzyża.

Krzyż Jezusa Chrystusa jest wysokim miejscem jego nauczania. Tam właśnie spełnia się manifestacja Prawdy. Prawdy o człowieku: „oto człowiek”; „oto syn twój, oto matka twoja” Prawdy o Bogu; miłości aż do końca, odsłonięcie życia trynitarne: „Ojczy, w ręce Twoje oddaję Ducha mego”. Tam właśnie wyraża się też najgłębszy szacunek Boga do wolności człowieka, aż do możliwości odmowy. Tam, wreszcie, wypełnia się doskonale wolność — w posłuszeństwie Syna. Dobrowolne uniżenie się Jego „aż do śmierci, a śmierci krzyżowej”, i Jego wywyższenie w chwale, tajemnica „zakryta od wieków” w Bogu, jest odtąd dana do dyspozycji Kościoła, jako jego własne dobro (por. Ef 3, 9-10). Słowo osiągnęło swoją najwyższą miarę: Bóg „powiedział nam wszystko w swoim Synu”.

Miara ta mierzy nasze własne słowo. Wszczepiona — w ten sposób — w tajemnicę paschalną, relacja katechetyczna łączy bojaźń i pokój, krzyż i radość. Podobnie „z bojaźnią i wielką radością” — opowiada Mateusz — pobiegły niewiasty zanieść uczniom dobrą nowinę o zmartwychwstaniu. W ten sposób wyznaczyły one w historii drogę, na którą wchodzi kolejno wszyscy ci, którzy mają misję głoszenia Słowa: drogę bojaźni i radości.

Droga bojaźni: nauczanie Słowa obnaża nas ze wszystkich zabezpieczeń, ze wszystkich naszych umiejętności, sprowadzając nas do tego, co zostaje z naszej wolności, gdy jej odebrano wszelkie punkty oparcia: bojaźń i drzenie. Święty Paweł świadczy o tym w Pierwszym Liście do Koryntian i łączy w sposób znamienity to doświadczenie z krzyżem: „Tak też i ja przyszedłszy do was, bracia, nie przybyłem, aby błyszczać słowem i mądrością głosić wam

<sup>7</sup> Tamże, § 5.

świadcstwo Boże. Postanowiłem bowiem, będąc wśród was, nie znać niczego więcej, jak tylko Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I stanąłem przed wami w słabości i w bojaźni, i z wielkim drżeniem” (1 Kor 2, 1-3). W epoce ówczesnej dysponowano znakomitymi technikami nauczania, tak ze strony retoryki greckiej, jak i tradycji rabinistycznej; Paweł też nie rezygnuje z posługiwania się nimi przy tej okazji. Wie on jednak, że nie mógłby opierać na nich swojej pewności apostoła Jezusa Chrystusa. Nie wypada więc, by nasze nowoczesne zdobycze katechetyczne, pedagogiczne, egzegetyczne, teologiczne służyły nam za pretekst, by odjąć nam tę bojaźń, lub by nas nią zadziwić, podczas gdy jest ona żywym tropem — w naszym słowie i w naszym ciele — „mądrości krzyża”, którą głosimy, i jakby opartym na naszych słowach cieniem chwały Zmartwychwstałego.

Nie chodzi jednak o to, by bojaźń paraliżowała w nas Słowo. Wysyłając swoich apostołów w stronę Galilei Narodów, Pan wysłał ich do „ludu, który znajduje się w ciemnościach”, a wszystko się dzieje tak, jakby głoszenie Słowa wzbudzało opory, potęgowało ciemności, zarówno nasze, jak i naszych słuchaczy. To właśnie nasza wolność, zraniona grzechem, głosi innym wolnościom — również zranionym przez grzech — Słowo zbawienia. Również nasze słabości są zawsze ewentualnym pretekstem, by nasze słowo zostało odrzucone; są również dogodnym pretekstem do tego, by nas zmusić do milczenia. Z pewnością, w naszej działalności katechetycznej mogą wystąpić okoliczności, w których rzeczywiście — wobec pewnych rewolt i pewnych tragedii — nie możemy już więcej mówić. Wkraczamy nieraz w Godzinę Jezusa Chrystusa, Godzinę, w której — wobec ludzkiej odmowy — Słowo milczy i w tym milczeniu uwierzytelnia swoje słowa. Jednakże milczenie Słowa — gdy słowa milkną, gdyż właśnie samo istnienie staje się w całości słowem, kerygmą, męczeństwem — nie ma nic wspólnego z przypadkami „milczenia wstydliwego”, w których nam się zdarza, z lęku przed swymi ograniczeniami, lub przeciwnie, pogrzebać Słowo. Takie milczenie zachodzi tylko po ofiarowaniu, po wygłoszeniu słowa; nie można go wyprzedzić; jest ono tym kielichem, o którego wypiciu nie moglibyśmy zdecydować, ani o niego prosić, ponieważ jest to kielich Chrystusa w Jego męce.

Święta Bernardeta, której nie kusił „prestiz słowa lub mądrości” a jej prostota nie знаła „wstydliwego milczenia”, odpowiadała spokojnie władzom z Lourdes: „Jestem zobowiązana powiedzieć wam to, co widziałam, lecz nie musicie w to wierzyć” Każdy katecheta, wierny swojej misji, może sobie przyswoić tę prostą i mocną odpowiedź. Musi on mówić i oddać na służbę tego słowa wszystkie swoje ludzkie i duchowe zasoby. Jednak owoc



jego słowa nie jest jego dziełem, nie należy do niego. Dlatego statystyki badające uczęszczanie na katechezę, wytrwanie, praktyki religijne — choć pożyteczne i konieczne — nie mogą stanowić bilansu skuteczności, sukcesu lub porażki — jak to się zwykle dzieje ze statystykami. Mogą one i powinny pobudzać zapał apostołski katechetów. Nie powinny jednak naruszać ich spokoju.

Źródło ich pokoju nie leży bowiem w nich samych, w widocznym powodzeniu ich katechezy, w serdecznej harmonii relacji lub współpracy katechetycznej. Źródło ich pokoju tkwi w Zmartwychwstałym. „Nie bójcie się”; „pokój niech będzie z wami” — mówi On do tych, których wysyła głosić Słowo. Ponieważ pokój ten jest owocem Ducha, dobrem Królestwa, jest on niezależny od zmienności psychologicznych i niepewności działania. Jest on nieutracalny i przekazywalny. „Gdy do jakiego domu wejdziecie, najpierw mówcie: Pokój temu domowi! Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was” (Łk 10, 5-6). Oddając swoje słowo — to znaczy swoją inteligencję, swoją pamięć, całą swoją wolę — Słowu, katecheta pozwala Mu w sobie zamieszkać, wlać w siebie jego pokój: Ewangelizować, to zawsze równocześnie ewangelizować siebie! Przy założeniu, że nasze słowo nie zostało przyjęte, ta ewangelizacja siebie jest już jakimś owocem naszej katechezy, który — być może — wystarczy do jej usprawiedliwienia!

Jednakże, „jeśli znajdzie się człowiek godny pokoju”, ktoś komu Pan otworzył serce, by je uczynić uważnym na Słowo, wtedy pokój się udziela i Zmartwychwstały bierze w posiadanie jego królestwo w nowej wolności ludzkiej, by ją doprowadzić do jej spełnienia. Katecheta jest wtedy nie tylko zachwyconym świadkiem zawsze nowej płodności Słowa w tym człowieku, w tym czasie, w tej kulturze, lecz jest on sam w zamian za to ewangelizowany: tym razem już nie przez swoje własne słowo, lecz przez to — nowe, a jednak oczekiwane — które wzbudza Duch Święty w tym człowieku, w tym czasie, w tej kulturze. Wtedy pokój Zmartwychwstałego, zwielokrotniony przez podzielenie, kreśli w nich — jak w poranek wielkanocny — ślad prawdziwej radości.

tłum. ks. Julian Warzecha SAC